Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 15.
dnia 13. Marca 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 3 zł.
rocznie . . . . 7 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

(Ciąg dalszy).

Nazajutrz w południe Ryszard zjawił się w kancelarji starosty. Wróciwszy do dnia do domu, nie zabawił w nim długo, rzeczy bowiem, które na wstępie usłyszał, nie sprawiły mu przyjemności, a że z Zygmuntem potrzebował zobaczyć się jak najprędzej, pospieszył więc do niego jeszcze przed objadem. Starosta ledwie go poznał: taki był smutny i zgnębiony. Nie wiedząc coby to znaczyło zapytał go o przyczynę. Młody człowiek machnął ręką i odpowiedział:

— W czas się jeszcze dowiesz mój kochany... Tymczasem zechciej mi powiedzieć, co tu mój ojciec wczoraj porabiał. Boję się czy nie popełnił znowu jakiego błędu, którego nie będzie można naprawić.

— Błędu nie popełnił, tylko wielką śmieszność, z której niestety i jam gotów wyjść ośmieszony. Posłuchaj w jakiej sprawie przyjechał wczoraj do mnie.

Tu starosta wiernie wszystko opowiedział i tak zakończył:

— Bojąc się aby taki Stern nie rozgłaszał, że jestem tchórzem, on byłby nawet gotów wydrukować to w *Neue freie Presse*, a więcej jeszcze, żeby wujowi nie robić przykrości, przyjąłem ten zabawny pojedynek. Żeby zaś komedja była zupełna, proszę cię Rysiu na mojego świadka. Po jednej stronie będzie ojciec, po drugiej syn, sytuacja jedyna w swoim rodzaju! Jak się naród o tem dowie, umrze ze śmiechu!

— Trzeba jednak żeby się nie dowiedział, bo by ci to mogło szkodzić.

— Wujaszek przyrzekł święcie, że się o to postara, niech więc myśli... Teraz powiedz mi Ryszardzie co tobie na sercu cięży, bo zaiste wyglądasz jakbyś wracał z pogrzebu. Przecie się nie spodziewam, żeby ten naród paryzki, który od kilku tygodni Starąwieś objada, był przyczyną twego zmartwienia. O ile słyszałem są to ludzie spokojni i przyzwoici.

— I bardzo nawet! — Ryszard potwierdził. — Z tem wszystkiem nie odbiegłeś daleko od rzeczywistości, przypuszczając, że oni są powodem mojego zmartwienia. Wprawdzie nie oni mnie martwią, żaden z nich bowiem nie wyrządził mi dotąd najmniejszej przykrości, lecz martwię się przez nich i dla nich

— Jak to rozumiesz Rysiu?

— Rzecz się tak ma mój kochany: Jak wiesz, wyjeżdżając z Paryża przyrzekłem im uroczyście, że jak tylko dowiem się, że do Galicji będą mogli przyjechać, niezwłocznie po nich napiszę. Tyś mi pierwszy powiedział, co zresztą i inni potwierdzili, że rząd nie zabrania mieszkać w Galicji żadnemu wychodźcy, byle ten udowodnił, że bądź majątek posiada, bądź z pracy żyje. Usłyszawszy to, powiedziałem sobie, że lubo ci biedacy majątku nie mają, jako dobrzy rzemieślnicy będą tu mogli znaleźć łatwo przyzwoity kawałek chleba. Napisałem więc po nich, a gdy przyjechali, udałem się niezwłocznie do stolicy, żeby im zajęcie wyszukać, i czy dałbyś wiarę...

— Żeś nic nie znalazł — starosta dokończył. — Ależ dam, Rysiu dam, bo wiem doskonale co się w moim powiecie dzieje. Naród goły jak święty turecki. Dziwi mnie tylko, żeś przedtem nie za-

czął miejsc dla nich szukać... gdybyś był od tego zaczął, ręczę że nie byłbyś ich sprowadzał.

— Masz rację, żem zgrzeszył porywczością, lecz czy mogłem przypuścić, że nawet dobry rzemieślnik w Galicji chleba nie znajdzie?

— A do czegóż ten naród jest uzdolniony?

— Dwaj między nimi są egzaminowani i bardzo zdolni maszyniści, jeden był zatrudniony w fabryce broni, jeden jest białoskórnikiem, dwaj robią prześliczne pugilaresy i różne drobiazgi, inni pracowali u pierwszego introligatora w Paryżu, który od roboty książek handlowych płacił im dziennie po 7 franków. Myślałem, że maszynistów na której kolei pomieszczę, jednak i to się nie udało; koleje protegują tylko Niemców, których po krachu wiedeńskim całe setki do nas się zleciały. Rad nie rad będę zatem musiał odesłać ich do Paryża.

— I wierz mi, im prędzej ich odeślesz, tem lepiej będzie dla nich i dla ciebie. U nas o rzemiosłach, jakim ten naród się oddaje, dotąd ani słychać. My wszystkie lepsze wyroby dostajemy od niemców austrjackich, którzy od stu lat uszczęśliwiają nas swoim przemysłem. Źle mój Rysiu, źle, nasz naród dostał wprawdzie wolność, lecz taką, jaką mają włoscy lazaroni, którym wolno nic nie robić, na słońcu leżeć i z głodu umierać.

Ryszard uśmiechnął się gorzko.

— Niestety — rzekł — i ja wierzyć zaczynam, że tak jest w Galicji... Przypominasz sobie Zygmusiu ostatnią naszą rozmowę? Mówiliśmy także o biedzie u nas panującej, a kiedym ciebie zapytał, jaka może być jej przyczyna, odpowiedziałeś, żebym ja szukał przyczyn.

— Spodziewam się, przecie od tego jesteś filozofem!

— Otóż szukałem, śledziłem, badałem i o ile mi się zdaje jestem na dobrej drodze.

— Doprawdy? Mów, mów Rysiu! Nie posiadam się z ciekawości.

Przysunęli sobie krzesła i nasz przyjaciel tak zaczął:

— Wszystko złe zdaniem mojem ztąd wypływa, że Galicja jest tak źle rządzona, jak może żaden inny kraj pod słońcem. Przez sto lat wyzyskiwano nas w sposoby najrozmaitsze, zabijano przemysł, niszczono kraj bankructwami państwowemi, a teraz choćbyśmy się nawet dźwignąć chcieli, nie możemy, bo jesteśmy podobni do paralityka, który i na wolnem powietrzu ruszyć się nie jest w stanie. O tem, byśmy tu w Galicji przemysł podnieśli, nawet mowy być nie może, z niemieckiemi bowiem Austrji prowincjami, w których on oddawna istnieje, konkurencji nigdy nie wytrzymamy. Jedynym jeszcze dla nas ratunkiem byłoby rozumne podnoszenie rolnictwa w Galicji, które z czasem zrównoważyłoby może straty na innych polach ponoszone, lecz czy w tym kierunku rząd cokolwiek dla nas robi? Panowie stojący u steru władzy w Austrji postępują jak teoretycy, którzy nasłuchawszy się pewnych haseł, chcą je mimo ich niepraktyczności gwałtem w życie wprowadzić. I tak, ponieważ do tych haseł należy także okrzyk: szkół jak najwięcej trzeba zakładać! więc niemal co roku otwierają u nas nowe gimnazja, a o racjonalnych szkołach rolniczych dotąd ani pomyśleli.

— Święta prawda Rysiu! — starosta przerwał. — Na co narodowi tylu gimnazjów? Chyba na to, żeby wytwarzały co raz więcej intelligentnego proletarjatu. Już dziś mamy przepełnienie we wszystkich oddziałach administracji państwowej, w sądownictwie zaś młody człowiek musi kilka lat służyć bezpłatnie i z głodu ginąć, zanim nędzne adjutum dostanie.

— A co dopiero mówić — Ryszard uzupełnił — o uczniach szkół realnych i technikach! Ci już doprawdy mrą z głodu. Naiwni teoretycy powiedzieli sobie, że technicy przemysł stworzą, tymczasem praktyka życia wykazuje, że dopiero tam, gdzie przemysł sam z siebie zaczyna powstawać, okazuje się potrzeba zakładania szkół technicznych. Czyż nie było by lepiej dla kraju, gdyby owe miljony, które gmach naszej techniki będzie kosztował, obrócono na podniesienie rolnictwa?

— Masz rację! — starosta znowu przerwał — naród nierównie więcej na tem by skorzystał. Słyszałem także, że nasi posłowie noszą się z zamiarem wystawienia pałacu dla Sejmu za kilka miljonów. Niech by więc i te pieniądze oddali na racjonalne szkoły lub zakłady rolnicze.

— Nie suszmy jednak sobie tem głowy, mój Zygmuncie! Co ma być pewnie się stanie. W Austrji teorja musi zwyciężyć!... Bo przypatrz się tylko mój kochany, jak ona w każdym innym kierunku postępuje. Zbiera się kilku wyzyskiwaczy i zakładają taki bank włościański, który ma chłopa zrujnować, ona im daje przywilej; przychodzą drudzy i otwierają bank Hipoteczny, który lepiej i skuteczniej niż cokolwiek innego niszczy właścicieli większych posiadłości, ona im daje

przywilej; zarządy kolei ustanawiają wysokie taryfy, które kraj rujnują a wzbogacają tylko jednostki mające akcje owych kolei, ona im daje na to pozwolenie; popełnia nasz Sejm błąd niesłychany, i w kraju, gdzie lud taki jeszcze małoletni, uchwala podzielność gruntów włościańskich, ona zmienia to zaraz w ustawę; wołają żydzi — lichwiarze, że trzeba znieść stopę procentową, ona i na to przystaje. Krótko mówiąc, Austrja od niepamiętnych czasów tak rządzi, jakby jej szło o jednostki, nie o ludy. To też jednostkom pozwala się wzbogacać, ludy zaś niech idą na żebry. Z takiem państwem mój drogi nie zajdziemy daleko.

Aż dotąd starosta uważnie słuchał; dopiero przy ostatnich słowach zerwał się na równe nogi i głośno zawołał:

— Powoli Rysiu, bo doprawdy lękam się żebyś ty znowu nie zaszedł za daleko... Wszystko com tu usłyszał jest rozumne i prawdziwe, tylko żadną miarą nie zgodzę się na twoją konkluzję. Bo i dla czego nie miało by się i w Austrji zmienić na lepsze? Państwo, które z absolutnego potrafiło zostać konstytucyjnem, które dla swego zbawienia zaprowadziło nawet dualizm, dla czego pytam takie państwo nie miało by zrobić jeszcze kroku jednego i przeistoczyć się w czysto federacyjne? Wszystko złe, które dziś na Austrję spływa, pochodzi od Niemców centralistów, między którymi żydzi rej wodzą, oni to popierają interesa partykularne ze szkodą narodu.

— Czy sądzisz, że ta zmiana kiedy nastąpi?

— Bez żadnej wątpliwości mój Rysiu. Nieboszczyk namiestnik kilka razy mi wspominał, że w tym kierunku już niejednokrotnie były usiłowania czynione, lecz rozbijały się ciągle o opór Niemców. Ale niech ich jeszcze raz dobrze przetrzepią, ręczę, że się wtedy wszystko zmieni.

Ryszard potrząsł głową jakby z politowaniem.

— Smutna to rzecz mój drogi, — rzekł — jeżeli państwo dla własnego dobra nie reformuje się dobrowolnie, lecz dopiero pod naciskiem niebezpieczeństw zewnętrznych... Znaczy to chyba, że się na zagranicę ciągle ogląda i do jej życzeń zastosowuje swoją polityką wewnętrzną... Takie państwo nie żyje życiem własnem, lecz sztucznem. Zresztą nie sądzę, by sama zmiana dzisiejszego systemu na federacyjny, choć wątpię by i do tego przyszło, złemu zapobiegała. Austrja potrzebuje zmian wielkich, radykalnych, do których jak wiemy z historji, są zdolne jedynie państwa młode i silne. Między innemi naprzykład rzeczami, musiałaby także zerwać z samolubnem prawem rzymskiem, na którem opiera się jej ustawodawstwo i stworzyć prawo nowe, moralne, odpowiadające więcej duchowi chrystjanizmu.

— Co mówisz Rysiu? — przerwał starosta. — Wytłumacz mi to mój kochany, bo przyznam ci się, że nie wiele z tego zrozumiałem.

— Rzym, jak wiesz, był właściwie tylko jednem wielkiem miastem, a państwo rzymskie składało się z samych miast, które gościńcami były z sobą połączone. Ludności wiejskiej, takiej jaką dziś widzimy, wtedy całkiem nie było, każdy bowiem przez wzgląd na swoje bezpieczeństwo, szukał schronienia za murami miasta, zkąd wychodził pobliskie pole uprawiać. Prawodawcy rzymscy, mając tedy głównie miasta na uwadze, to jest ich wzrost i dobrobyt, otaczali samolubną opieką jedynie ich ludność, a ponieważ prawodawcy nowocześni na nich się znowu oparli, więc i w dzisiejszem ustawodawstwie widzimy pognębienie ludności wiejskiej. Miasta mają różne ulgi, kapitaliści w nich mieszkający prawie żadnych podatków nie płacą, giełdziści obracający miljonami nie poczuwają się do żadnych względem kraju obowiązków, i tylko jedna ludność wiejska upada pod brzemieniem podatków, które za wszystkich muszą składać. Nikt nie zaprzeczy, że jak Francja jest przedewszystkiem państwem przemysłowem, Anglja zaś handlowem, tak znowu Austrja jest państwem głównie rolniczem. Ustawodawca powinien tedy mieć tu na uwadze nie ludność miast, która próżnuje, lecz wiejską, która pracuje. I dopóki w tym kierunku radykalna zmiana nie nastąpi, jak również dopóki Austrja tak dalece się nie wzmocni, iżby mogła sama się urządzać, bez potrzeby ciągłego oglądania się na zagranicę, dopóty nie uwierzę w jej przyszłość... W stosunkach jak dzisiejsze, jednostki będą nadal karmiły się pracą ogółu, żydowstwo nie przestanie się rozwielmożniać, słowem zostaniemy nadal na pochyłości, po której w przepaść lecimy.

Starosta nie należał do tych, którzy lubią zagłębiać się w ważne zagadnienia. Jako Polak brał wszystko wrażliwie i chętniej ku temu się nakłaniał, co do uczucia, nie do jego rozumu przemawiało. Słowa Ryszarda nie były ciemne i pojął ich znaczenie, ale ponieważ były zbyt poważne, on zaś z zasady unikał rozmów poważnych i

oschłych, więc aby rozmowę na inny tor wprowadzić, chwycił się znowu ostatniego frazesu.

— Mówisz że na pochyłości stoimy? Lepsza dla narodu taka pochyłość, niż te granitowe podstawy, na jakich widzimy naszych biedaków w Księstwie i w Kongresówce. Prusak wynaradawia i wywłaszcza, Moskal bije i w Sybir wywozi. Tu zaś narodowi wolno mówić po polsku i modlić się jak mu się podoba.

— I ja mój drogi przyznaję, że chwilowo, i to jedynie pod względem moralnym, znacznie nam tu lepiej, lecz co będzie za lat sto, co za dwieście?

— Ach! mój drogi, ktoby sobie aż tem głowę suszył! My myślmy aby za naszego życia było dobrze, potem niech naród sam myśli o sobie. Ciekawym coby ci robili, którzy po nas przyjdą, jeżelibyśmy już teraz wszystko za nich uczynili. Przecie w świecie powinien być sprawiedliwy podział pracy. Coś my, coś i oni.

Ryszard nic już na to nie odpowiedział. Stanąwszy przy oknie, zwiesił głowę. Długo o czemś myślał. Starosta przeszedł się kilka razy po pokoju, nareszcie zatrzymując się przed nim, położył rękę na jego ramieniu i nagle zapytał:

— Prawda Rysiu, że ty Austrji nie lubisz?

— Nie lubię? Bynajmniej! Uważam ją jak każde inne z państw rozbiorowych.

— To źle mój drogi, ona tyle nam dobrego uczyniła, że powinniśmy jej być wdzięczni.

— Ja mój drogi jestem wdzięczny tylko za taki dar, który pochodzi z dobrego serca, nie z musu. Zresztą ja także nie zapomniałem, że niedawno temu Austrja była wcale inną... Za to, że dziś do nas się uśmiecha, niech jej będą wdzięczni politycy sentymentalni, do których ja nie należę. W polityce mój kochany tylko rozum zwycięża, nigdy uczucie.

— Jeżeli tak mój Rysiu, to niechże ci ten rozum jednę rzecz wyświeci. Oto bawiąc dłuższe lata za granicą, nie wiesz zapewne, że tu naród marzy tylko o Austrji, głęboko będąc przekonany, że ona Polskę odbuduje...

— Czy i ty w to wierzysz Zygmuncie?

— No, może nie całkiem, boć są rozmaite trudności międzypaństwowe i dynastyczne, z któremi państwo tak ociążałe jak Austrja, nie będzie miało odwagi zerwać, lecz bądź co bądź należy brać w rachubę opinję publiczną i tej się nie narażać... Ona zaś uważa Galicję za polską Sardynję...

Ryszard podniósł głowę poważnie i tak odpowiedział:

— Jakkolwiek za granicą dłuższy czas mieszkałem, nie sądź Zygmuncie, bym nie wiedział, jakie zdania w Galicji przeważają... trzymałem ci ja zawsze rękę na pulsie mego narodu, boć z wszystkich zajęć badanie prawd było mi najmilszem... Przyjechawszy tu, na widok ruiny całej ludności wiejskiej, na widok żydowstwa. które jak mrowisko organizm nasz obsiadło, na widok nędzy, która nawet ludziom pracy każe w obczyźnie szukać kawałka chleba, doznałem pierwszych rozczarowań! Wśród takich stosunków, ja mój drogi nie mogę się entuzjazmować i z góry ci oświadczam, że jeźli dalsze badanie bardziej mnie utwierdzi w smutnem przekonaniu, jakie dotąd o przyszłości Galicji powziąłem, z pewnością się nie zawaham, i choćbym wiedział, że sam jeden zostanę, wystąpię przeciw błędnym acz utartym i popularnym pojęciom.

Wypowiedział to spokojnie, lecz głosem tak dobitnym, że o niezłomnem jego postanowieniu nie było można wątpić. Starosta aż za głowę się chwycił:

— Chryste panie! jakby to twój ojciec usłyszał, z pewnością by zrozpaczał. Wszak on Rysiu o niczem nie marzy, tylko o odbudowaniu Polski przez Austrję.

— Jeźli będzie potrzeba i on usłyszy.

— Zastanów się jednak Rysiu, że twoje zasady są niezmiernie niepopularne... Możesz sobie łatwo zaszkodzić... Naród gotów Bóg wie co pomyśleć! Zostaniesz sam jeden jak palec.

— W takim razie będzie w Galicji przynajmniej jeden człowiek z odwagą cywilną. Lecz dosyć już o tem Zygmuncie. Teraz zakończmy sprawę, która mnie właściwie do ciebie sprowadziła. Mam z sobą pasporty tych biedaków i chcę cię prosić byś je posłał do ambasady francuskiej... Bez podpisu ambasadora na granicy francuskiej gotowi by ich nie puścić z powrotem, a wtedy nie mieliby chleba ani tu ani tam.

— Z największą chęcią, jeszcze dziś je odeszlę.

Wkrótce potem Ryszard do domu odjechał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

XIV.

W nocy, która nastąpiła po owym dniu pamiętnym, późno już bardzo, stary stangret, który spał nad stajnią, został przebudzony łoskotem. Poznał natychmiast, bo był przyzwyczajonym, że to znak umówiony; dziś jednak nie spodziewał się go wcale.

Stukano rytmem pewnym do małej furtki od dziedzińca.

Piotr sam tylko mógł to stukanie usłyszeć, bo reszta służby spała w oddalonym pałacu.

Stary sługa powstał przestraszony, ubrał się, zapalił latarkę i otworzył drzwi.

Przed nim stała kobieta, której twarz blada świeciła w ciemności.

— Jakto? to pani, tak późno?

Pani Bardin nie odpowiedziała nic, tylko spiesznie weszła i przeszła dziedziniec; gdy już doszła do stajni, spuściła płaszcz otulający ją, oparła się o mur zadyszana, zmęczona.

— Jak się miewa moja córka? — zapytała głosem stłumionym.

— Spi teraz, tak pani, spi.

— Czyś tego pewien?

— Ale naturalnie... tak sądzę...

— Czemu mi nie doniosłeś, że jest chorą?

— Bo dziś rano dopiero dowiedziałem się o chorobie panny Blanki. Ale mi nie powiedziano, żeby to gorzej było niż zwykle... To minie; doktor był, zapisał receptę... wieczorem już było spokojnie... Teraz nigdzie światła nie widać, wszyscy spią; widocznie zatem jest lepiej.

— Chcę ją zobaczyć.

— Ale co pani myślisz — to jest niepodobieństwo!

— Jakto, co myślę? Po to przyszłam tutaj.

— To być nie może!

— Chodź, chodź!

— A jeżeli nas usłyszą, spotkają?

— Pójdziesz naprzód przekonać się, że nikt nie może mię zobaczyć... Już myślałam o tem w drodze; tak mi dobrze opisałeś pałac, że znam go, jakbym w nim mieszkała. Widzę, gdzie jest jej pokój, pójdę wprost doń. Przyjdziesz po mnie. Nie bój się, nie usłyszą mnie... Jestem przyzwyczajoną chodzić pomiędzy spiącymi.

— Czekaj pani przynajmniej aż dnieć zacznie. Łatwiej znajdzie się sposób do wejścia.

— Czekać! nie mogę czekać; gdy dzień zaświta, będę daleko ztąd?

— Czy pani odjeżdżasz?

— Wyjeżdżam! Rozumiesz mnie, że spotkałoby mnie nieszczęście, gdybym jej widzieć nie miała. Musisz mnie do niej zaprowadzić, zaraz, natychmiast. Za dwie godziny już będzie za późno.

Piotr był zaniepokojony tą prośbą, latarka drżała w jego ręku i poruszała jego cieniem na murze.

— Strzeż się — rzekła pani Bardin niecierpliwie, — aby cię nie spostrzeżono!

Piotr postawił latarkę na ziemi i składając ręce prosił:

— Błagam panią baronową, abyś nie wymagała tego odemnie.

— Ale czegoż się boisz? Pokój pana de Moranes nie znajduje się od tej strony. Jeżeli nie jest u siebie, to jest w bibliotece, a ztamtąd nie wyjdzie, choćby i nie wiem jaki hałas był w podwórzu. Nie zwykł też chodzić po kurytarzach o tym czasie.

— Ah! zwyczaje się zmieniły. Pan baron nie jest w bibliotece.

— A więc, gdyby wypadkiem nadzwyczajnym miał mnie spotkać nawet, powiem mu wprost po co przyszłam. On nie ośmieli się robić hałasu. Nie mógłby mnie zabić, nie zabijając zarazem swej córki... Idź — on więcejby się przestraszył, niż ja.

— Ale pan Abel.

— Mój syn!

Pani de Moranes (powróćmy jej to nazwisko) zadrżała, przycisnęła ręką piersi i szepnęła słodko wzruszona:

— Mój syn! wszak jest pięknym? Czy ta daleka podróż nie zmęczyła go nadto. Mój syn!...

Pomyślała, przyszła do siebie i podnosząc głowę rzekła:

— Później go zobaczę. Nie do niego przyszłam. On nie jest chorym tylko Blanka... Nie mów mi nic o moim synu, nie wódź mnie na pokuszenie! bo zażądałabym, abyś mnie do niego zaprowadził.

— O pani baronowo!

— Decyduj się. Powóz, którym przyjechałam, stoi w alei, musi daleko powracać. Przyrzekłam, że tylko godzinę będzie czekał na mnie. Za godzinę odjedzie, a ty nie będziesz chciał, abym pieszo tak daleką drogę zrobiła. Gdyby było niemożliwem, rozumiesz mnie Piotrze, zobaczyć Blankę choć na chwilę, na sekundę, chociaż tylko przez drzwi uchylone, odjadę... ale ty stałbyś się powodem wielkiego smutku, może wielkiego nieszczęścia. Nikt nie umie tak jak ja, widzisz, odgadnąć choroby Blanki. Wszak ci powiedziałam, że w Boulogne wody jej pomogą. Teraz przypadkiem dowiedziałam się, że jest słabą... tutaj nie dosyć zważają na jej zdrowie; pozwól mi ją zobaczyć Piotrze, a ja ci zaraz powiem, co trzeba zalecić jej ojcu, bratu, pannie Dumesnil... Jeżeli mnie nie usłuchasz, wiesz

co zrobię?... zadzwonię do furtki. Ktoś z was, ty czy kto inny, przyjdzie mi otworzyć, każę wam powiedzieć, że przybyła pani de Moranes... Obudzę wszystkich... Pójdę do mego męża i powiem mu: „chcę zobaczyć córkę moją! Mam prawo do tego, tak jak mam prawo do powrotu tutaj, zkąd bez wyroku wypędziłeś mnie!“... Nie będzie mógł mnie odepchnąć. Zawołam na ratunek, jeżeli tego będzie potrzeba. Abel przybiegnie... Czy chcesz tego skandalu?

Piotr pobladł równie jak pani de Moranes.

— Mój Boże! mój Boże! — szeptał, — co to będzie? Ja panią tak kocham bardzo, tak kocham pana.

— Tak, jesteś poczciwym sługą, a dla mnie jesteś więcej, bo przyjacielem. Podaj mi rękę. Czy czujesz, jaką mam gorączkę? Czy chcesz, abym umarła tutaj?... Od dwunastu lat, dzieki tobie, wiem co się tutaj dzieje. Mogłam raz po raz zobaczyć córkę swoją, niestety! było to mało dla serca mego. Tobie zawdzięczam jedyną radość, jakiej mogę jeszcze doznać. Dzisiaj, gdybyś mi odmówił, widzisz, to coś dawniej zrobił, byłoby straconem, rozdarłbyś mi serce, przyprowadziłbyś mnie do rozpaczy. Potrzeba było konieczności, przed którą się nie cofnę, abym się odważyła na krok ten, którego niebezpieczeństwo obliczyłam! Powiedz sobie, że spełnisz teraz najlepszy uczynek w twem życiu. Bóg cię za to nagrodzi, a ja Piotrze, błogosławić ci będę!... Wreszcie czego się obawiasz? Spotkania z panem de Moranes tylko. Dla każdego innego mogę być tem, czem chcesz; sługą do pielęgnowania chorej, którą doktor przysłał. Skłamiemy. Jeżeli mój mąż nas zobaczy, za nadto jest sprawiedliwy, więc wybaczy ci!... A w końcu choćbyś się wystawiał na niebezpieczeństwo! uczyniłbyś to dla mnie?

Pani de Moranes tak była wzniosłą, imponującą, choć błagała, tak piękną z swoją twarzą bladą, że Piotr uległ urokowi, jak ci, co ją „dobrą panią“ nazywali. Wydawało mu się, że w istocie przyświeca w ciemności, bo promienie z niej tryskały.

Chciał paść na kolana, to też podnosząc latarkę powiedział odważnie:

— Chodźmy, pani, cokolwiek się stanie, jestem pani posłusznym; poprowadzę panią.

— Dziękuję! — odrzekła.

Usta złożyły się do uśmiechu, jakby do pocałunku. Piotr szedł naprzód, pani de Moranes za nim o kilka kroków. Zostawała umyślnie w cieniu. Tak przeszli dziedziniec. Na ganku Piotr obrócił się, aby dać znak ręką, żeby się miała na baczności; nie było to potrzebnem, bo pani de Moranes, otulona cała czarnym płaszczem, stała ukryta w ciemności.

Stary sługa uchylił z cicha długą portjerę spuszczoną. Nie zamykano drzwi na klucz, bo i na cóż? Pan de Moranes, pracujący prawie do rana, nie obawiał się złodziei, a gdy zapragnął, zanim się udał do swego pokoju około godziny trzeciej czy czwartej rano, zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, wychodził do parku, nie potrzebując otwierać ciężkich ryglów i zasuwek.

Piotr pchnął drzwi szklanne i zostawił je otwarte; popatrzył chwilę badawczo na bibliotekę, na pokój jadalny, a przekonawszy się, że wszystko pogrążone w ciszy, wstąpił wolno, ostrożnie na wschody kamienne.

Pani de Moranes, która szła za nim i popychała go niejako, mogła po drganiu latarki mieć pojęcie o jego wzruszeniu.

W chwili, gdy chwytał za poręcz, spojrzała na jego twarz.

Był bladym, więcej do złodzieja, niż do bohatera poświęcającego się podobnym, a jednak owo poświęcenie było szczere; nie zawsze też prawdziwy heroizm biegnie odważnie do celu.

Gdy Piotr już znikł na wschodach i tylko za sobą bladą smugę światła zostawił, pani de Moranes weszła na ganek, przeszła sień i wstąpiła na wschody, chwytając się silnie poręczy, jakby zdecydowana nie puścić się jej, dopóki nie ujrzy córki.

Czekała pięć minut, które jej się wiekiem zdawały.

Czy Piotra spostrzegł kto, spotkał? Czy rozmawiał z kim? Czy układał się?

Biedna matka żałowała, że się nie porozumiała z panną Dumesnil. Ale byłaby musiała długo się tłumaczyć, bo nauczycielka nie wiedziała o niczem. Jednak jej dobroć, pomimo jej śmieszności i romantyczności, byłaby ją spowodowała niezawodnie do dania pomocy matce nieszczęśliwej. Pani de Moranes nigdy z nią nie mówiła, ale widziała ją często z daleka i wzrokiem dziękowała jej. Gotowa była zazdrościć jej. Czyż nie zajmowała jej miejsca? Nie zastępowała Blance matki?

W tejże samej chwili, gdy prawdziwa matka stała tu niespokojna, łzawa, cierpiąca, wyczekując na znak na chwilę pożegnania, mającą być dla niej zasiłkiem ożywczym, gdy chwile drogie ubiegały, owa matka przybrana, panna Dumesnil, zainstalowana w pokoju Blanki może była przeszkodą, że wejść do niej nie może ta, która jedyna zdolną była uzdrowić chore dziecię swoje.

Owe pięć minut były straszniejszemi i cięższą karą dla tej kobiety wypędzonej za wiarołomstwo, niż dwanaście lat pracy mozolnej, cierpliwego poddania, owych galer macierzyńskich pomiędzy dziećmi, których matką się stawała, aby przytłumić w sobie ból i tęsknotę niezagojoną.

Trzymała się kurczowo poręczy, aby nie iść dalej i nie rzucić się naprzód.

Wreszcie światło latarki zabłysło, Piotr zchodził z wolna zawsze pełen obawy. Pani de Moranes czekała z bijącem sercem.

Jeżeli jej powie, że nie może iść dalej!

Nie mógł przemówić, zanim nie zbliżył się zupełnie blisko.

— Jest samą! — poszepnął do ucha matki.

— Ah! widziałeś ją? czy spi?

— Tak.

— Tak długo bawiłeś.

— Słuchałem pod wszystkiemi drzwiami... trzeba było przekonać się, czy jest istotnie samą... Chodź pani.

Pani de Moranes stała się na chwilę panią Bardin. Wyprostowała się, łagodny uśmiech wystąpił na twarz i boleść znikła. Potrzeba jej było wielkiej przytomności umysłu. Nawykła do niego swemi cierpieniami. Teraz wystawiała sobie, że przez lat dwanaście pracowała tylko, aby wyrobić w sobie tę moc duszy li na to, żeby teraz córkę uratować.

Cała jej miłość skupiła się, aby działać. Sama przytłumiła w sobie wrażenie, któreby jej wzrok badawczy omylić mogło. Potarła kilkakrotnie ręką czoło, oczy, aby przekonać się, że nie były wilgotne; a z każdym stopniem wschodów, na który wstępowała, stawała się silniejszą i pewniejszą siebie. Gdy weszła na pierwsze piętro spoglądała tak wesoło, że Piotr zadziwił się, gdy się do niej obrócił.

— To tam — rzekł pokazując na drzwi uchylone. — Otworzyłem sam, aby być więcej pewnym. Pani nie byłabyś tego dość cicho zrobiła... Tam na lewo w kurytarzu to pokój pana barona... tam, na prawo pana Abla, to panny Dumesnil... Wszyscy spią; ale bądź pani bardzo ostrożną. Biedne dziecię spi także! Będę na panią czekał tutaj.

Przepuścił panią de Moranes i usiadł na wschodach. Nie mógł już stać dłużej, nogi pod nim drzały. Postawił latarkę koło siebie, zasłonił ją sobą, złożył ręce i czekał.

Pani de Moranes umiała przesuwać się jak cień. Uchyliła zaledwie cokolwiek więcej drzwi, aby się wsunąć do pokoju. Jak tylko weszła powitała go i ogarnęła wzrokiem elektrycznym i zbliżyła się do łóżka.

Nocna lampka postawiona na stoliczku rzucała blade światło, które drgająco igrało na bielutkiej twarzyczce Blanki.

Pani de Moranes odsunęła firankę nad łóżkiem zawieszoną i patrzała na córkę.

Mogła ją widzieć dokładnie; zdawało się, że chora przeczuwała tę wizytę i dla tego padła uspiona na poduszki na wznak z rękoma wyciągniętemi na kołdrze, aby jej matka mogła się nasycić widokiem jej twarzy wybladłej.

Oddech był słaby, ciężki. Pani de Moranes, która się pochyliła, aby go słuchać, podniosła głowę przerażona.

Tak, miano słuszność; Blanka była bardzo delikatną, bardzo zagrożoną, bardzo chorą. Jednak doktorzy ciągle zepewniali, że dotąd nie rozwinęła się żadna choroba organiczna. Cierpienie pochodziło ze strasznego wspomnienia, a serce, które w skutek tych myśli bić przestawało, jeszcze nie zostało dotknięte smiertelną chorobą zągrażającą mu. U wód morskich Blanka nabyła kolorów i humor jej się ożywił. Pani de Moranes widziała ją tam i dotknęła się jej kilka razy, zbliżyła się nawet tak blizko, aby jej oddech pochwycić i nacieszyć się widoczną poprawą jej zdrowia. Miłość, do której nierozważna matka zachęcała, po zwierzeniach się Fryderyka de Rosey obudziła życie w tych żyłach, na tem czole; to też miłość tylko mogła teraz dalej sprawić cuda.

Pan de Rosey powiedział, że jedyną przeszkodą do połączenia się młodej pary był ów cień niepewny, błąkający się, straszny owej matki występnej.

Gdyby ów cień oddalił się tak daleko, żeby się nie potrzebowano obawiać, że ukaże się kiedykolwiek, albo gdyby śmierć go zabiła, czy wtenczas Blanka, połączona z Fryderykiem, szczęśliwa, odzyskałaby zdrowie, które radość daje? Jej żal byłby krótkim. Popłakałaby za matką, bo przyzwyczaiła się do szukania jej; ale że od tak dawna pieszczot jej nie zaznała, żal byłby lekką mgłą, z którą rozwiałyby się wszystkie jej dawne smutki.

— Tak! — myślała pani de Moranes, składając ręce — wspomnienie, które ją zabija, ja zabiję!

Nie przypuszczała nawet, że powtarzała to samo, co przed kilku godzinami wypowiedział pan de Moranes; że ci dwoje nieprzyjaciół godzili się tym sposobem na zagrzebanie owej nieobecnej matki, stającej na przeszkodzie; tej zmarłej, która się tylko we śnie ukazywała.

Czy pani de Moranes byłaby chciała odebrać mężowi córkę, gdyby była znała jej uczucie dla siebie? albo czy z większą nadzieją byłaby spełniła owo poświęcenie, do którego była gotową, a którego obawiała się z boleścią niewymowną?

Zaczęła wątpić! A jeżeli owo poświęcenie nic nie pomoże, kto to naprawi, kto potem się poświęci?

Ale nie, to lekarstwo było pewnem. Pan de Rosey był człowiekiem prawym, sprawiedliwym; pokocha Blankę tem więcej, gdy się dowie, że imię jej matki jest złączone z przyjaciółką jego, panią Bardin. Powiedział przecież głośno, że gdy matka zniknie, Blanka zostanie jego synową.

Czemuż biedna kobieta nie pomyślała o tem prędzej? Teraz wyrzucała sobie jako egoizm owe dwanaście lat pracy, z której dumną była. Opóźniła bowiem zbawienie córki, wyprowadzenie jej z tego ponurego pałacu.

Blanka opuści to więzienie, aby wejść do rodziny inteligentnej, zacnej, która wkrótce zatrze wszystkie ślady owego nieszczęścia. Biedna matka w obec tej kochanej, spiącej chorej, chciała wywołać przed oczy swoje obraz tego przyszłego szczęścia i radości swej córki.

Rozpocznie to się z dniem ślubu. Wiktorja przypominała sobie swój. Będzie tu zachodziło pewne podobieństwo pomiędzy matką a córką. Blanka także nie będzie miała koło siebie matki, któraby jej woal ślubny przypięła, błogosławiła ją i prowadziła do kościoła. Ale jaka różnica pomiędzy owym dniem spokojnym w Vendun, a uroczystością, jaka się tutaj odbędzie w tym dniu, gdy panna Dumesnil ubierać Blankę będzie. Jak młoda panna śliczną będzie! Jak z uśmiechem w niebo będzie spoglądała!

Nic w tym pokoju, nic w całym pałacu nie przypomni pani de Moranes; ale może w owej chwili Blanka na chwilę powróci w sercu swem do wspomnień dzieciństwa; może, zanim odda się cała miłości Fryderyka, poszle pożegnanie, podziękowanie tej matce przez wszystkich zapomnianej! może jedna łza, jedna, jedyna (matka nie żądała ich więcej) spadnie jak kropla rosy na bukiet ślubny.

Pani de Moranes dręczyła się wszystkiemi temi myślami.

— Jest niepodobnem, mój Boże! — powtarzała sobie z gorzką rozpaczą — abym zkądbądź nie miała ujrzeć tej łzy, która stanie mi za wszelką nagrodę. — Jak to, nigdy, przenigdy nie mam ujrzeć uśmiechu córki najszczęśliwszej przezemnie? nigdyż nie ma mnie zapragnąć, aby mi przebaczyć lub mnie zapotrzebować? Jestem przygotowana na wszystko, gotowa do życia, które gorszem będzie od śmierci! Ale nie spodziewać się nigdy tego uśmiechu, tego spojrzenia, to nad siły moje!

Te refleksje przy łóżku Blanki były niebezpiecznemi. Pani de Moranes nachylała się coraz więcej do córki; w chwili wzruszenia wyciągnęła rękę i prawie dotknęła się jej ręki, przeraziła się tem świętokradztwem i zatrzymała się.

Wtenczas uklękła przy łóżku i wpatrywała się w ten obraz nadziemski.

Tak pozostała przez pół godziny w zachwycie, upajając się tym widokiem; oddychając chciwie tem samem powietrzem, którem oddychała córka, wyciskając na swej duszy te rysy, które chciała zabrać z sobą.

Nie wiem, czy jest pewien magnetyzm potężniejszy, niż wola, który przechodzi z jednej osoby kochającej w drugą; ale pani de Moranes ujrzała nagle, iż oczy Blanki się otwierają.

Czy to było przebudzenie? czy tylko sen przerwany, który u chorych zaraz powraca? Pani de Moranes schyliła się i załamała ręce powstrzymując oddech w obawie największej. Blanka zrazu nie poruszyła się. Czy śniła jeszcze, czy słuchała owego głosu tajemniczego, głosu, który do niej mówił wśród snu? Jej wzrok ożywił się, spojrzała w górę z uśmiechem i spuściła oczy na dół patrząc naokół.

Wtenczas miała widzenie. Podniosła się z wolna, pociągnięta twarzą owej klęczącej osoby, która coraz więcej się pochylała, w miarę jak chora wyciągała ręce.

Uśmiech, o którym pani de Moranes marzyła, zarysował się na ustach jej dziecięcia. Owa łza, której pragnęła, zabłysła w oku promiennem, zachwyconem.

Pani de Moranes sądziła, że to śmierć się zbliża, tak to widzenie było nadziemskie. Ale oparła się pokusie i nie rzuciła się ku córce; nie objęła jej, nie podniosła, aby ją swemi pocałunkami wskrzesić; niestety! może zabić!

Cofała się coraz dalej wciąż na kolanach. Nie wymówiono ani słówka. Urok był wspólny. Matka bała się wymówić: córko! córka bała się poszepnąć: matko, i rozprószyć widmo.

Tak cofnęła się pani de Moranes aż do połowy pokoju, ale gdy zobaczyła, że córka wychodzi z łóżka i z rękoma wyciągniętemi chce iść dalej, pospieszyła się, dosięgła drzwi i znikła w nich spiesznie.

Krzyk rozległ się:

— Moja matko! moja matko!

Tego było zanadto. Pani de Moranes chciała pobiedz do niej, ale Piotr stał za nią, pochwycił ją i odciągnął!

Blanka doszła aż do drzwi, nie była w stanie iść dalej; chciała wołać, słowa zamarły jej w gardle i padła zemdlona.

Pani de Moranes wyrwała się z rąk starego sługi, przybiegła do córki, podniosła ją, ucałowała lekko, złożyła na łóżku i uciekła odurzona.

— Chodź! chodź! — wołała na Piotra.

Uciekła z obawy, że nie będzie mogła się ztąd oddalić. Pochwyciła za poręcz wschodów, zsunęła się prawie z nich biegnąc w noc ciemną jak w przepaść.

Piotr zaledwie mógł zdążyć za nią; jego latarka poruszała się, rysując jasne koła na wschodach. W tej samej chwili troje drzwi otworzyło się na kurytarzu.

Panna Dumesnil, którą krzyk Blanki obudził, nie znalazła się pierwsza u jej drzwi.

Pan de Moranes i Abel stali już przy nich. Oni nie spali, tylko czuwali obaj, przepełnieni obawą, którą jeden przed drugim taił.

— Co się stało? — zapytał Abel.

Pan de Moranes nie odpowiedział nic, nie pytał o nic. Wszedł do pokoju, pobiegł do łóżka Blanki.

Leżała na kołdrze i przychodziła do siebie. Chwytając jej ręce i badając puls, uczony spoglądał na okół z dziką ciekawością. Obrócił się do Abla i zapytał:

— Czy to ty otworzyłeś drzwi?

— Nie, ja usłyszałem krzyk.

Pan de Moranes włożył rękę Blanki w rękę brata i wyszedł spiesznie; przypomniał sobie, że słyszał jakiś szmer na wschodach. Potrącił o pannę Dumesnil stojącą przy drzwiach.

— Czemu ją pani samą zostawiłaś? — zapytał opryskliwie.

Nie czekał na odpowiedź, już był na wschodach. Ztamtąd spostrzegł blade światło migające w dali.

— Kto tam? — krzyknął głosem stanowczym.

Nikt nie odpowiedział.

Pan de Moranes uderzył pięścią o poręcz, aż zatrzeszczała, chciał zejść, ale się namyślił, poszedł do okna wychodzącego na dziedziniec. Przez spuszczoną okiennicę zobaczył światło Piotra, które jak błędny ognik migało w oddali, ale to było wszystko.

Potrząsł głową groźnie i powrócił do łóżka Blanki. Chora przychodziła do siebie. Panna Dumesnil zaledwie ją mogła utrzymać, zrywała się. Powracające życie objawiało się wybuchami szaleństwa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W OBRONIE OJCZYZNY.

OPOWIADANIE Z WOJNY 1870 ROKU

PRZEZ GRANVILLE-MURRAY.

(Dokończenie.)

Chłopiec miał tylko stłuczoną nogę, ale byłby umarł w tym dole głodną śmiercią, gdyby go ten prusak nie uratował. Od tej pory codzień przychodzi do wioski i odwidza Michałka, dowiedział się także i o nas. Ah! panienko, panienko, to jest prawdziwy anioł w skórze zbójcy. On jest łagodny jak kobieta, a silny jak lew. A przytem czego on nie umie? nauczył nas jak się mamy obchodzić z drzewami, żeby dużo owocu rodziły, co mamy zrobić żeby piec nie dymił, sam zabił dziurę w dachu, żeby nam deszcz się nie lał do izby... a przytem tyle w nim godności, taki figurant, że człowiek nie śmie powiedzieć do niego inaczej, tylko: wielmożny panie kapitanie. O gdyby to mój mąż i jego koledzy mieli takich oficerów, to Berlin dawno byłby już nasz.

Lilia nic nie odpowiedziała, lecz margrabia zauważył że palce jej drżały, gdy zapinała ostatni guzik płaszczyka.

Wieśniaczka oczekiwała odpowiedzi, a źle zrozumiawszy milczenie panienki, zawołała z płaczem:

— Lecz co nam po tym prusaku, jeśli to obrazić może panienkę. Ja wyrzucę w błoto i ten tytoń i fajkę i nie puszczę go nigdy za próg mego domu!

I z temi słowy porwała za pudełko, lecz Lilia zatrzymała ją mówiąc:

— Nie, nietrzeba. Pozostawcie ten podarunek u siebie i widujcie się z tym oficerem... lecz już jest późno kuzynie — dodała zwracając się do margrabiego, i pożegnawszy włościan wyszła z chaty oparta na jego ramieniu.

Ściemniało już całkiem.

Niebo było posępne, bez księżyca, bez gwiazd, czuć było śnieg w powietrzu. Zmrożona ziemia była tak twarda, że kroki przechodniów stukały po niej jak po granitowej posadzce. Młodzi ludzie szli obok siebie milcząc. Dlaczego milczał margrabia trudno mu byłoby powiedzieć, lecz instynkt częstokroć wskazuje nam, kiedy mamy mówić, a kiedy milczeć. Ze swej strony młoda osoba czuła, że nie mogłaby wymówić w tej chwili ani słowa pomimo największej chęci.

Wreszcie margrabia jakby sobie coś przypomniał zatrzymał się nagle.

— Kuzynko — rzekł — mieliśmy być w czterech chatach, a wstępowaliśmy tylko do trzech.

— Ah Boże! rzeczywiście zapomnieliśmy o starym Janie! — rzekła Lilia wyrywając się nagle z zadumy — a oni tam oczekują, gdyż obiecałam przynieść im sto franków na reperację domu. Lecz cóż zrobić, do chaty starego Jana tak daleko.

— Tak, i już jesteś bardzo zmęczoną kuzynko, czy nie możnaby odłożyć tego do jutra?

— Ah, to ich strasznie zmartwi. Nie będą mogli zasnąć spokojnie, pomyślą, żem ich opuściła.

— W takim razie ja sam zaniosę im pieniądze, a ty się wróć do tej chaty, gdzieśmy teraz byli i poczekaj na mnie.

— Lecz już jest siódma — rzekła spojrzawszy na zegarek, ojciec czeka z obiadem i będzie niespokojny. — Zawahała się chwilkę, później dodała:

— Ja sądzę, że najlepiej będzie tak; idź ty kuzynie z pieniądzmi do Jana, a ja powrócę sama do zamku. Niedaleko jest i droga bezpieczna, nie spodziewam się, żeby mnie kto zaczepił.

— Ciebie? — rzekł margrabia — a któżby śmiał?

Jednak pomimo przekonania, że Lilii nic się nie stanie, Albert wcale nie chciał, aby puściła się w drogę sama i pociemku, szukał w myśli sposobu, któryby mógł zapewnić i bezpieczeństwo Lilii i interes starego Jana.

Rozmyślania te wszakże do niczego nie doprowadziły i rad nie rad musiał się zgodzić na plan Lilii, która zapewniła go, że się wcale nie obawia i że w swojej okolicy może być zupełnie bezpieczną i liczyć na rycerską szlachetność jej mieszkańców.

Cóż było robić. Margrabia Albert wziął od Lilii sto franków i poszedł do chaty starego Jana.

Lilia szła sama.

Nie była ona jednak samą. Dla czego na tej drodze czuła się bardziej bezpieczną niż na każdej innej? Dla czego nie spostrzegłszy nigdy, że Leoneisen stoi na straży pod drzewem, instynktowo uczuwała jego obecność? Nie mówił on jej nigdy o miłości, a jednak miłość ta istniała. Było to uczucie nieme, pełne tajemniczości i szacunku. Czyżby skryte myśli młodego człowieka znalazły jaki oddźwięk w jej duszy?

Lilia postępowała szybko z oczami spuszczonemi w ziemię. Przeczuwała bliską obecność kochającego i strzegącego ją człowieka. Jej twarz gorzała, serce uderzało gwałtownie, lecz wszelkiemi sposobami starała się ukryć wrażenie, pragnęła nie dać poznać po sobie jak silna, płomienista miłość przejmowała całą jej istotę.

Uszedłszy z pięćset kroków, doszła do zakrętu, od którego ciągnęła się drożynka jeszcze bardziej wązka i ciemna.

Szła jednak odważnie i trzeba przyznać, że nie ulękła się wcale, dostrzegłszy na drodze dwóch drabów z fajkami w rękach i tłumoczkami na plecach.

Zrównawszy się z nią, ludzie ci ustąpili jej z drogi

i przyłożywszy ręce do czapek życzyli jej dobrej nocy.

Lecz potem zatrzymali się, jakby zdziwieni tem spotkaniem elegancko ubranej damy o tak późnej porze. Wyjęli fajki z ust i naradzali się przez chwilę.

Oczywiście narada ta musiała nie być bardzo uczciwą.

W owym czasie, skutkiem częstych porażek armij terytorjalnych, namnożyło się mnóstwo maruderów, którzy nie chcąc wracać do wojska, pod rozkazy wodzów, nie mających zaufania, oraz nieznajdujących w domu spustoszonym chleba ani schronienia, trudnili się niebardzo uczciwem rzemiosłem.

Do kategorji tych właśnie niegodziwców należeli dwaj mężczyźni, którzy spotkali Lilię de Brossac.

Narada ich trwała niedługo.

Schowali fajki do kieszeni i pocichutku pospieszyli za nią.

Lecz Leoneisen był blisko i odgadł o co idzie.

Wkrótce jeden z włóczęgów zatrzymał młodą osobę i płaczliwym głosem rzekł:

— Ulituj się panienko, jeżeli w Boga wierzysz, nad dwoma rannymi żołnierzami, którzy nie mają za co powrócić do domu.

— Walczyliśmy we wszystkich potyczkach — przemówił drugi.

Lilia nie zlękła się wcale, stanęła i odwróciwszy się wydobyła portmonetkę z kieszeni, lecz gdy miała wyjąć ztamtąd pieniądze, jeden z włóczęgów wyrwał jej portmonetkę z ręki, drugi zaś zamierzył się, aby ją uderzyć.

W tej samej chwili Fryderyk Leoneisen wyskoczył z ukrycia i silnem uderzeniem rękojeści od szabli powalił draba na ziemię. Później rzucił się na drugiego, schwycił go za gardło i ścisnął tak silnie, że aż mu oczy i język na wierzch wyszły.

Po chwilce takiego uścisku i drugi drab legł bezprzytomny obok swojego towarzysza.

Wszystko to stało się prawie w okamgnieniu i prusak odzyskawszy w tej chwili krew zimną, zdjął z uszanowaniem czapkę i podał portmonetkę Lilii.

— Oto jest pani portmonetka — rzekł — mam nadzieję, że się pani niebardzo przelękła.

— Dziękuję panu — rzekła cicho Lilia, nie podając mu ręki.

— Pozwól Pani abym ją odprowadził do zamku — rzekł głosem drżącym.

Skinęła lekko głową na znak zgody. Wówczas oficer nachylił się nad leżącymi włóczęgami, żeby zobaczyć, czy ich niebezpiecznie pokaleczył.

— Nie ma nic strasznego — rzekł z cicha.

Wyjął jednak chustkę z kieszeni i obwiązał jednemu ranę na głowie, później zdjął z siebie płaszcz i przykrył obu leżących.

Nareszcie zrobiwszy wszystko, co było można dla ulżenia im cierpień, wstał, przeprosił pannę de Brossac za opóźnienie i podał jej rękę, aby ją odprowadzić.

Lilia chciała się wesprzeć na tej ręce, lecz zatrzymała się chwilkę, a wyciągnąwszy do niego drobną swą rączkę, rzekła patrząc mu prosto w oczy:

— Pan masz szlachetne serce.

W ciemności trudno było rozpoznać, czy po tych słowach Leoneisen zbladł czy poczerwieniał, lecz ukląkł na jedno kolano i przyłożył do ust podaną sobie rączkę.

— Tak — rzekła Lilia głosem stanowczym — dla czego nie mam powiedzieć tego co myślę. Kraje nasze walczą obecnie z sobą i my długo, długo będziemy nieprzyjaciółmi. Lecz powróciwszy do kraju, zapewne z przyjemnością pan wspomnisz, że nie jedne tylko łzy i ruiny pozostawiłeś po sobie.

— Czyż wrogowie na zawsze mają pozostać wrogami — odezwał się smutnie — czyż nie nadejdzie czas, w którym zapomniane będą smutne wypadki tego strasznego roku.

Wówczas przechodzili właśnie obok chaty, która padła ofiarą wojny.

Lilia milcząc wskazała na ten martwy szkielet ludzkiej siedziby, rozwalony, bez dachu, z napół strzaskanym kominem od kuli armatniej.

Prusak westchnął ciężko.

— Mówiono mi — rzekł po chwili milczenia — że przed sześćdziesięcioma laty wieś mego ojca była w takim samym stanie, matka opowiadała często, że małem dzieckiem wyniesiono ją z gorejącego domu, w którym zamordowano jej rodziców. To było podczas bitwy pod Jena. Po tej bitwie dziad mój wraz z innymi przedstawicielami arystokracji pruskiej utworzyli spisek, mający wywołać powstanie i zapobiedz podziałowi kraju naszego. Spisek został odkryty, ojca mego aresztowano, a sąd wojenny francuzki skazał go na śmierć za to, że kochał Prusy.

Ręka Lilii Brossac febrycznie drżała.

— Muszę powiedzieć pani — mówił dalej spokojnie Leoneisen — że pewien francuz usiłował ocalić mego dziada. Jeden z kwaterujących w naszym zamku oficerów zasiadał w sądzie wojennym. Głosował on za uwolnieniem mego dziada i osobiście pojechał prosić o to cesarza. Napoleon odmówił i ażeby ukarać śmiałość oficera wyznaczył go do komenderowania plutonem, który miał rozstrzelać nieszczęśliwego ojca. Wówczas szlachetny oficer złamał szpadę i zażądał dymisji. Zrobił więcej jeszcze — dymisji mu nie dano i za karę zdegradowany został na prostego żołnierza — i jako zwyczajny szeregowiec służył aż do skończenia wojny. Oficer ten był...

— Nazwisko pańskie — zawołała Lilia chwytając go gwałtownie za rękę.

— Lepiej powiem pani nazwisko szlachetnego oficera francuzkiego — odpowiedział prusak — był to margrabia de Brossac, rodzony dziadek pani.

V.

Po dwóch tygodniach okolica otaczająca zamek Brossac uległa wielkiej zmianie. Osaczona niespodzianie, dzięki jedynemu rozumnemu rozporządzeniu generała francuzkiego podczas całej wojny, armia niemiecka musiała szybko rejterować z pod O., aby się nie dostała całkiem do niewoli.

W O. była wielka radość. Spodziewano się powszechnie, że nareszcie los zacznie sprzyjać nieszczęśliwej Francji i że skończy się szereg nieustannych klęsk i porażek.

Widząc jednak że niemcy nie pozostawią bez odwetu swojej przegranej, miasto O. oczekiwało powtórnej bitwy.

Trudno wyobrazić sobie jak cieszył się z tego książę de Brossac.

Generał francuzki powiedział mu, że zamek może stanowić bardzo ważny punkt obrony w przyszłych wypadkach i przysłał do zamku tysiąc ludzi dla wzmocnienia parku i wzniesienia barykad.

Książe dumny był ze starych drzew, olbrzymów ozdabiających park jego, teraz jednak z rozpromienionem obliczem chodził pomiędzy żołnierzami i najpiękniejsze drzewa skazywał na ścięcie, oraz radził, aby na budowę barykad zabrać wszystkie kamienne statuy z ogrodu.

Żołnierze patrzyli na niego z podziwieniem, a generał nie mógł się wstrzymać od wyrażenia swego zachwytu.

— Gdybyś pan wiedział, ile mnie kosztowało pracy zdobycie pozwolenia na zburzenie kilku nędznych domostw, które całe nie są warte jednego okna z pańskiego zamku — mówił patrząc z żalem na wspaniały starożytny budynek.

— Rodzina moja — odpowiedział książe — jest w posiadaniu tego zamku od lat czterystu, może go więc teraz utracić bez żalu.

Tegoż samego wieczoru, widząc że oficer inżynierji waha się zburzyć przepyszny pawilon, który przeszkadzał planom fortyfikacyjnym, książę pochwycił za topór i własną ręką zaczął rozwalać ścianę.

Lilia szła za przykładem ojca. Wszędzie, gdzie tylko głos i obecność kobiety mogły podtrzymać i nadać ducha żołnierzom, zjawiała się ona piękna, spokojna, ze słowami nadziei na ustach.

Żołnierze wskrzesiwszy tytuł dawany niegdyś pannie Montpensier za czasów Frondy, nazywali ją „la grande demoiselle“ a zapał ich doszedł do tego stopnia, że zabobonni bretończycy dotykali kraju jej sukni w tem przekonaniu, że życie ich będzie tym sposobem zabezpieczone. Kiedy zaś oświadczyła, że nie opuści zamku podczas bitwy, uwielbienie jej przeszło niemal w cześć religijną.

Nawet ostrożny Baptysta ztał się nagle walecznym.

— Wyobraź pan sobie panie margrabio — mówił ów stary famulus do Alberta — że jeden z tych zbójców odjeżdżając ztąd chciał mi dać sto franków. Ten niemiecki hrabia Leoneisen zażartował sobie ze mnie w ten sposób, ten sam co się ciągle włóczył po ogrodzie z taką głupkowatą miną. Lecz powiedziałem mu też, mości panie, gdybym był młodszym, nauczyłbym cię co to znaczy dawać takie prezenta francuzom. I rzuciłem za nim te pieniądze.

— A później kiedy niemiec wyszedł, pozbierałeś je z podłogi i schowałeś do kieszeni — odrzekł śmiejąc się Albert.

Lecz chociaż margrabia traktował dość sceptycznie waleczność Baptysty; ten jednak znajdował szanujących go słuchaczów pomiędzy żołnierzami i służbą.

Pospiech z jakim prusacy opuścili zamek po pierwszej wiadomości o uderzeniu na O., nadawał jeszcze więcej energji obrońcom zamku i roboty około umocnienia tej starożytnej siedziby szły nadzwyczaj szybko.

Generał, jakkolwiek dobrze rozumiał jak ważny wpływ na duch żołnierzy mogłaby wywrzeć obecność Lilii, namawiał ją jednak, aby koniecznie opuściła zamek przed bitwą i nie narażała swego życia.

Wymowa jego wszakże była płonną.

— Moje miejsce jest tutaj generale, — rzekła stanowczo, i stary wojak nie nastawał więcej.

Jeden tylko margrabia Albert rozumiał i wiedział, ile rzeczywistego heoizmu było w sercu biednego dziewczęcia i co ją kosztowała taka stanowczość.

Wiedział on, a przynajmiej zgadywał, że serce Lilii nie jest tak wyłącznie oddane sprawie kraju, jak było przed kilkoma miesiącami.

W krótkich i dość mglistych wyrazach opowiedziała mu ona, jak pruski oficer wydarł ją przed kilkoma tygodniami z rąk rozbójników, kiedy powracała sama wieczorem ze wsi. Jakkolwiek nie opowiadała mu drobiazgowo szczegółów, młody człowiek jednak umiał być domyślnym i wiedział teraz, w kim ma rywala.

Ma się rozumieć, że nie powiedział kuzynce ani słowa o tem przypuszczeniu.

Tak było aż do dnia bitwy.

Nareszcie nadszedł dzień bitwy i zakończył się dla Francji, jak wszystkie dnie bitew w tym nieszczęśliwym roku.

Źle odziany, źle wyćwiczony, źle uzbrojony tłum rekrutów z jednej strony — nauka, karność i znakomici dowódcy z drugiej — mogły mieć tylko łatwo przewidzieć się dający rezultat.

Po czterogodzinnej bitwie francuzi byli pobici zupełnie.

Bitwa była przegraną, na jednym tylko punkcie zwycięzcy spotkali silny opór, to jest w zamku Brossac.

W ciągu dnia nie atakowali zamku zbyt silnie, gdyż ten znajdował się nieco w oddaleniu od głównego centrum batalji. Lecz ku wieczorowi, kiedy już opanowali wszystkie pozycje i tylko z baterji znajdującej się w parku zamkowym francuzi podtrzymywali morderczy ogień — prusacy wysłali parlamentarza z żądaniem, aby zamek się poddał, gdyż wszelki opór do niczego nie doprowadzi.

Obrońcy zamku odpowiedzieli odmownie. Książe powiedział do dowodzącego oficera:

— Nie poddamy się wcale, będziemy walczyć aż do ostatniego naboju.

Oficer powtórzył tę odpowiedź parlamentarzowi.

W godzinę później baterja w parku musiała umilknąć, jedno skrzydło zamku legło w gruzach, pierwsza barykada została rozbita. Jeszcze przeszło pół godziny i trzeba było opuścić barykadę drugą... trzecią i czwartą.

Żołnierze strzelali odważnie, wściekle. Nie widzieli oni nic ani przed sobą ani poza sobą.

Nad zamkiem i parkiem wznosił się tuman dymu, wpośród którego słychać było jęki rannych i pękanie bomb.

Nareszcie i w parku nie było można się utrzymać.

Ostatnią barykadę opuszczono.

— Jeszcze możemy bronić zamku — zawołał książe, poczerniały od dymu i zbryzgany krwią.

Strzelał on na barykadach wraz z żołnierzami.

— Do zamku! — zakomenderował oficer, ślepo posłuszny rozkazom księcia — do zamku!

Zabito pod nim konia i walczył pieszo.

Po kilku chwilach park był pełen prusaków.

Ogień armatni ustał.

Zamku można było bronić tylko piersiami własnemi.

Obrońcy strzelali z okien. Prusacy odpowiadali ogniem karabinowym i rzucali się na bagnety, pragnąc wziąć zamek szturmem.

Była to rzeź straszna.

Odparto jedenaście ataków jeden po drugim. Taras marmurowy, na który wychodziły okna pierwszego piętra, zawalony był trupami, po białych, marmurowych schodach lały się strugi krwi, co chwila słychać było trzask ram i szyb rozbitych. Kilka kul jak nożem przerżnęło łańcuch, na którym zawieszony był wspaniały żyrandol kryształowy w głównej sali i ogromna masa szkła upadła z brzękiem na podłogę, zasiewając ją deszczem brylantowym.

Nikt nie myślał o poddaniu się — nareszcie dał się słyszeć fatalny okrzyk:

— Nie ma czem strzelać!

— Ah! żebym mógł zabić ich dowódcę — rzekł wysoki żołnierz w koszuli z zawiniętemi po łokcie rękawami — toby ich zmięszało.

Margrabia i Lilia Brossac stali obok tego żołnierza.

Młoda osoba nabijała karabiny, Albert stał obok niej w ten sposób, że ją własnemi piersiami zasłaniał od kul nieprzyjacielskich. Żołnierz wskazał przez okno pruskiego dowódcę. Lilia i Albert spojrzeli — atak na zamek prowadził hrabia Leoneisen.

Żołnierz wymierzył.

Byłto wyborny strzelec, ale w chwili gdy dotykał cyngla Albert trącił go w łokieć, strzał chybił.

Lilia wstrzymała oddech. Albert patrzył na nią. Wejrzenia ich spotkały się.

Żołnierz nabił broń.

Zmierzył powtórnie, lecz Albert nie potrzebował już trącać go w łokieć. Zanim zdążył spuścić kurek, broń wypadła mu z rąk.

Padł ugodzony kulą w czoło.

Zewsząd było słychać krzyki:

— W oficera! pal w oficera!

— Zaczarowany!

— Kule go mijają.

— Mierz dobrze, pal mu w łeb!

Kule świstały.

Lecz prusak jechał ciągle na czele swoich żołnierzy.

Kule przelatywały koło niego ze wszech stron, lecz żadna go ugodzić nie mogła.

— Jeżeli go nie zabijemy, to za minutę zamek będzie wzięty! — krzyknął oficer, strzelając raz po raz z rewolweru.

W tej samej chwili książe de Brossac, klęczący we framudze okna, aby mógł pewniej celować, podskoczył, zachwiał się i padł martwy u nóg swej córki.

Rewolwer wypadł z jego ręki.

Lilia podniosła ten rewolwer.

— W oficera! w oficera! — krzyczało kilkaset ust zbryzganych krwią zapiekłą.

Blada, z zaciśniętemi zębami Lilia zbliżyła się do okna.

Wahała się przez chwilę, później wyciągnęła rękę i zaczęła mierzyć. Leoneisen znajdował się od niej o trzydzieści kroków. Twarz jego wyrażała wzruszenie i smutek.

Lilia spuściła kurek.

Oficer zachwiał się na siodle, spojrzał w górę, zobaczył kto go zabił i martwy stoczył się z konia.

W tej samej chwili, zanim Albert miał czas ją zatrzymać lub zgadnąć jej zamiar, wskoczyła na okno, rozwinęła szmat chorągwi francuzkiej, i wywijając nią wśród gradu kul, wołała:

— Niech żyje Francja!

Prusacy trąbili do odwrotu. Lilia to słyszała i padła nieżywa wśród radośnych okrzyków żołnierzy:

— Zwycięztwo! zwycięztwo!

K O N I E C.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.